

REJESTR DOTYCZY: DE BARCZA Alicja z d.Liphardt
 1-o voto Jerzowa Romaszkan.....
 s/c Otto i Elżbieta
 Vitali
 z d.
 * 27 maja 1909 w
 kraj: POLSKA
 -+ sierpn. 1973 w Warszawie
 kraj:
 pochowany:
 nr grobu:

Nr rejestracyjny

...../.....

Nota zamieszczona:

w tomie
 części

Indeks

AUTORKA

Copyright: 1970
 B.O. Jeżewski

Źródła i bibliografia c.d.:znak rozpoznawczyUwagi:

Nota:

Przypisy:

Źródła i bibliografia:

Tydzien Polski 6.1.1974 " Alicja de Barcza "
piora Felicji Krancowej

znak rozpoznawczy

47/6.1.74/



ALICJA DE BARCZA

Alicja de Barcza

Felicja Krancowa

nie grały roli. Jako dorastające panny obracałyśmy się w tym samym środowisku typowo warszawskim, gdzie sfery mieszczańskie, przemysłowe i zawodowe przemieszane były ze światem muzyki, sztuki, literatury i teatru. Toteż miałyśmy wiele wspólnych przyjaciół, pisarzy i artystów. Byli to, między innymi, poeci Skamandra Lechoń, Wierzyński, Słonimski, Antoni Borman i Roman Jasiński, Egon Petri, a później Witold Gombrowicz, Józef Wittlin. Litka namiętnie lubiła wspominać te czasy, robiła to w sposób bardzo obrazowy i zabawny, nieraz dawała się ponieść fantazji, wyolbrzymiając pewne elementy lub na poczekaniu dodając nowe.

Po skończeniu pensji wyjechała do Berlina, gdzie studiowała sztukę w Itten School (była specjalnie dobra w rysunku i ilustracji), potem do Londynu, gdzie chodziła czas jakiś do King's College, ale głównie była wtedy „piękna dwudziestoletnia”, jakby powiedział Marek Hłasko. I to jak piękna!

Za mąż wyszła w 1931 roku za Jerzego Romaszkanę. Zamieszkała w malowniczym Tarnowie nad Prutem; Litka pokochała ten zakątek Huculszczyzny, wrosła weń korzeniami do tego stopnia, że ani późniejsza zmiana kontynentu ani bieg czasu i wypadków nie zmieniły w nim jej stópki do tamtejszego ludu i tamtej przyrody. Z lubością o nich opowiadała, naszkicowała szereg rozdziałów, które miały wejść w skład większej całości.

Nadszedł wrzesień 1939 roku. Romaszkanowie w ostatniej chwili przekroczyli granicę, zabierając ze sobą jako jedyny bagaż maszynę do pisania i dwa psy. W obozie dla uchodźców na Węgrzech Jerzy, który już raz stoczył walkę z gruźlicą, zapadł w nią ponownie i już z niej nie wyszedł. Litka władając biegle pięcioma językami dostała posadę tłumaczki w Czerwonym Krzyżu, pracowała też jako rysowniczka w dużej fabryce tekstylnej. W 1944 roku wyszła ponownie za mąż za Charlesa De Barcza, wówczas wiceprezydenta związku przemysłowców węgierskich, dyrektora wielkich cukrowni, który przy pomocy specjalnych interwencji, ciężko chory wyostał się z gestapo, by w parę miesięcy później znaleźć się wraz z całą rodziną pod okupacją rosyjską. Przebieg tych wypadków, częściej smutnych lub zgoła tragicznych, rzadziej wesołych, opisała Litka w książce „Comes the Comrade”, która stała się jej debiutem literackim w skali międzynarodowej.

Po zakończeniu działań wojennych Barczowie postanowili opuścić zagrożony politycznie Budapeszt — Litka zdążyła jeszcze, nielegalnie i w przebraniu, odwiedzić rodziców w Polsce — i po wielu tarapatkach uchodźczej epo-

staną się tam naszymi sąsiadami.

Przez pierwszy rok Litka jeździła po całym kraju, wygłaszając odczyty, udzielała wywiadów prasie, ukazywała się na ekranach telewizyjnych. Gdy się kontrakt odczytowy skończył, kupili starą farmę w Maryland i osiedli tam na stałe — Litka z zamiarem dalszego pisania. Musiała jednak potem szukać innego zarobku i przez trzy lata uczyła języków w szkole dla oficerów lotnictwa w Waszyngtonie, udzielała również korepetycji jadącym do Polski dyplomatom. Latem trzymała dom otwarty dla przyjeżdżających tłumnie gości i przyjmowała „paying guests” (sama była świetną kucharką) a w „chwilach wolnych od zajęć” napisała czwartą z kolei i może najlepszą swoją książkę „Natalie”, opisującą przeżycia dziewczynki dorastającej na Węgrzech w czasie ostatniej wojny. „Natalie” nie została bestsellerem pomimo bardzo przychylnych prasy; czołowy krytyk z „New York Times”, podkreślając niezwykle trafne wyczucie psychologii dziecka, postawił ją tuż obok słynnej „High wind in Jamaica” Hughesa. Bajki dla dzieci — pisane w różnych okresach i które ceniła wyżej od swych powieści — nigdy jakoś nie znalazły amerykańskiego wydawcy.

Odkrywszy w sobie talent pedagogiczny, Litka zaczęła się rozglądać za posadą na jakimś uniwersytecie. Ale nie przychodziło to łatwo i pisała wówczas nagłe listy na wszystkie strony, gdzie tylko miała przyjaciół. I oto tak się złożyło, że Oshkosh State College miał wakans na stanowisku instruktora francuskiego. Litka знаła Oshkosh z czasu toury odczytowej i miasto, a zwłaszcza ludzie zrobili na niej dobre wrażenie. Popieraliśmy jej kandydaturę ile tylko się dało (dzielnie nam w tym pomagał Wacław Jędrzejewicz, wówczas profesor w niedalekim Ripon College, i jesienią 1955 roku oboje Barczowie zawitali do „naszego” miasta, pełni entuzjazmu do rozpoczęcia jeszcze jednego nowego rozdziału w ich burzliwym życiu. Było im tu od samego początku dobrze, doznali wielu dowodów ludzkiej życzliwości i przyjaźni, poczuili się zabezpieczeni, dopłynęli do spokojnej przystani i postanowili tu pozostać. Kupili kawałek zadzwoniętego terenu i zbudowali na nim dom dwurodzinny według planów Litki, ślicznie i z dużym gustem urządzone, pełen z trudem uratowanych pamiątek. Jakże się jej mąż Kari, będąc słabego zdrowia i skazany na częstą bezczynność, tym domem cieszył, ile sobie po nim obiecywał, jak pragnął sprowadzić na letnie miesiące dzieci i wnuki. Umarł jednak niedługo potem, w styczniu 1963 roku, w Bostonie, dokąd pojechał z wizytą do ukochanej

córki. Tam też został pochowany.

Litka najpierw dzielnie walczyła z samotnością, pracowała jak przedtem, otaczała się przyjaciółmi, chodziła z ukochanym psem na spacer, ale gdy biedną wilczyce przejechał samochód coś się w Litce załamało, opuściła ją dawna odwaga i zaufanie we własne siły i oto pustkę, która się koło niej wytworzyła zaczęła odczuwać coraz bardziej boleśnie, aż wreszcie dała za wygraną i podała się do dymisji.

Próbowała się urządzić przy rodzinie męża, odwiedzała przyjaciół, ale nic nie przynosiło jej spokoju i biła się z myślami, gdzie się osiedlić, żeby móc żyć ze skromnej renty. Od szeregu lat jeździła na lato do Polski i zaczęła się zastanawiać, czy by się tam nie przenieść na stałe. Władze robiły jej jednak trudności i upłynęły długie miesiące nim dostała pozwolenie na stały pobyt, ale w końcu kupiła mieszkanie w kooperatywie z dalekim widokiem na Wisłę — i urządziła je przywiezionymi z Oshkosh meblami — bo chciała żeby jej przypominały Kariego. Schodzili się do niej dawni znajomi, koleżanki z pensji... i odwiedziła ją we wrześniu siostra, Maryla Filipowicz, która tam pojechała z wizytą do córki. Znalazła Litkę w dobrej formie, odprężoną nerwowo i zadowoloną ze zmiany. To wrażenie dzieliłiśmy wszyscy, nie szczędziła bowiem superlatywów

Prenumerujcie „TYDZIEŃ POLSKI”

w częstych kartkach, uwagi krytyczne ograniczając jedynie do praktycznej strony życia. W Warszawie, mieście swego dzieciństwa i młodości, Litka do końca zachowała w sobie coś z dziecka, odnalazła oto smak życia, który, wydawać by się mogło że straciła bezpowrotnie — i zdumiewała się samą, że tyle rzeczy jeszcze ją cieszy i tyle wzrusza. Pisała stamtąd:

„Tu tak cudownie, że ze wzruszenia pozbić się nie mogę. Czuję się też o wiele lepiej, bo szczęście daje zdrowie, pamiętaj o tym. Pełno tu zieleni, czysto, byłam wczoraj w ogrodzie botanicznym, to jest mój „Secret Garden”. Czy pamiętasz tę książkę? Jakaś aura dzieciństwa mnie ogarnęła, a z nią w parze idąca radość z każdego dnia, z każdego przebudzenia się rannego... Kocham masę przyjaciół, to też jest samą błogością — co za spotkania, opowiadania, istne rozkosze... to miasto jest pełne cudownych ludzi. Do nikogo nie piszę, bo zbyt szczęśliwa jestem — roznosi mnie dosłownie”.

Do nikogo już nie mogła napisać. Nie zdążyła. Nastąpił niespodziewanie atak serca, zabrali ją natychmiast do szpitala, ale już jej nie mogli uratować. Kartka przyszła do Oshkosh 30 września, a więc w trzy dni po jej śmierci.

Trudno jest w krótkim wspomnieniu dać obraz zjawiska, jakim była Litka, zawrzeć historię jej bogatego życia i jej bardzo nieprzeciętnej indywidualności.

Lechoń pisał o niej w swoim dzienniku, że „jest ona to co się nazywa personality”, że jest to ktoś „pełen rzeczy nieoczekiwanych, instynktownych i sprzecznych”. Odnosnie jej pisarstwa notował, że „Litka Romaszkan (pseudonim Alexandra Orme) niegdyś fascynująca chłopięcą urodą dziewczyna z Warszawy o nieokreślonych ambicjach artystycznych — napisała książkę „Comes the Comrade”, która jest nie tylko best-sellerem, ale nawet pewnego rodzaju sensacją literacką w Ameryce”. I dalej, że „jej druga powieść jest podobno prawdziwą i to nie byle jaką literaturą. Głupia refleksja „kto by to pomyślał”, ale naprawdę kto by to pomyślał lat temu trzydziści w Warszawie, że będę popijał w barze nowojorskim z Litką Liphardt jak bądź co bądź autorką amerykańską”.

W ciągu rocznego pobytu Litki w Nowym Jorku Lechoń obserwuje i podziwia na niej „instynkt z jakim mimo pozornego cynizmu i cygańskiej emfazy układa swoje życie, gospodaruje na tych uchodźczych ruinach jak u Wedla na Szpitalnej” i odnajduje w tym „paradoks natury niemieckiej, filozoficzny pesymizm i świetnie zgodzoną z życiem biologię”.

Kiedy Barczowie przenieśli się do Maryland, Lechoń był częstym gościem w ich tzw. Forsajtówce, a między jedną wizytą i drugą korespondowali ze sobą, co widać z zapiska w dzienniku: „List od Litki pełen żartów — zupełnie męskich — to nie znaczy „kawalerskich”, ale takich właśnie jakimi zabawialiśmy się kiedyś z Tuwimem i Słonimskim. Byłem uderzony kamradę tego listu, który przeniósł mnie w ową kpiarską i sentymentalną młodość, — czułem się jakbym dostał kartkę od dwudziestoletniego Kazia Wierzyńskiego”.

Litka bardzo sobie ceniła te uwagi Leszka i w ostatniej kartce z Warszawy upominała się, z żartobliwą egzaltacją („na klęczkach cię błagam”) o przysłanie jej drugiego i trzeciego tomu „Dziennika” Lechońa.

urodzą dziewczyną z Warszawy. Jerzego Romaszkan. Zamieszka-
nieokreślonych ambicjach arty-
stycznych — napisała książkę
„Comes the Comrade“, która jest
nie tylko best-sellerem, ale nawet
pewnego rodzaju sensacją lite-
racką w Ameryce. I dalej, że
„jej druga powieść jest podobno
prawdziwą i to nie byle jaką lite-
raturą. Głupia refleksja „kto by
to pomyślał“, ale naprawdę kto
by to pomyślał lat temu trzydzie-
ści w Warszawie, że będę popijał
w barze nowojorskim z Litką
Liphardt jako bądź co bądź
autorką amerykańską“.

W ciągu rocznego pobytu Litki
w Nowym Jorku Lechoń obser-
wuje i podziwia u niej „instynkt
z jakim mimo pozornego cyniz-
mu i cygańskiej emfazy układa
swoje życie, gospodaruje na tych
uchodźczych ruinach jak u Wed-
la na Szpitalnej“ i odnajduje w
tym „paradoks natury niemiec-
kiej, filozoficzny pesymizm i
świetnie zgodzoną z życiem biolo-
gię“.

Kiedy Barczowie przenieśli się
do Maryland, Lechoń był częstym
gościem w ich tzw. Forsajtówce,
a między jedną wizytą i drugą
korespondowali ze sobą, co widać
z zapiska w dzienniku: „List od
Litki pełen żartów — zupełnie
męskich — to nie znaczy „kawa-
lerskich“, ale takich właśnie jak-
imi zabawialiśmy się kiedyś z Tu-
wimem i Słonimskim. Byłem
uderzony kamaderię tego listu,
który przeniósł mnie w ową
kpiarską i sentymentalną mło-
dość, — czulem się jakbym dostał
kartkę od dwudziestoletniego Ka-
zia Wierzyńskiego“.

Litka bardzo sobie ceniła te
uwagi Leszka i w ostatniej karc-
ce z Warszawy upominała się, z
żartobliwą egzaltacją („na klęcz-
kach cię błagam“) o przysłanie
jej drugiego i trzeciego tomu
„Dziennika“ Lechońa.

Alicja Liphardt urodziła się w
Warszawie 27 maja 1909 roku.
Jej ojciec był niemiecki przemy-
słowiec Otto Liphardt, matką
Elżbieta Vitali, uroczą pani za-
rządzająca sklepem czekolady
Wedla, którego inni krewni
mieszkali również w tej samej
kamienicy przy ul. Szpitalnej 8.

Nim ją poznałam na przed-
szkolnych kompletach w domu
Stefanów Brunów na Matejki
krążyła o niej legenda jako o cu-
downym dziecku, które wpadło na
pomysł napisania listu do cesarza
Wilhelma z prośbą o „wypusz-
czenie Tatusia z więzienia“ (był
bowiem jeńcem rosyjskim) i któ-
ry — o jakże błogie to były cza-
sy! — wówczas poskutkował:
Otto Liphardt odzyskał wolność
na zasadzie wymiany jeńców.

Litka była wówczas, pamiętam,
raczej wątła, włosy miała sple-
cione jak większość z nas w dwa
grube warkocze, a oczy takie
ogromne, jakich nigdy przedtem
ani potem u żadnego dziecka nie
widziałam. Nie została jednak z
nami długo, bo już po paru mie-
siącach wysłano ją, z powodów
zdrowotnych, do internatu w
Gstaad w Szwajcarii. Była tam
chyba przez pięć lat i po powro-
cie chodziła do szkoły p. Szalayo-
wej a dopiero potem na pensję
J. Kowalczykówny i J. Jawurkó-
wny na Wiejskiej 11, gdzie ją spot-
kałam w 1920 roku; trafiła do
klasy, do której chodziła moja
siostra Aniela Lilpop (obecnie
Mieczysławska) i która odtąd

była moją przyjaciółką. Litka
w malowniczym Tarnowie nad
Prutem; Litka pokochała ten
zakątek Huculszczyzny, wrosła
weń korzeniami do tego stopnia,
że ani późniejsza zmiana konty-
nentu ani bieg czasu i wypadków
nie zmieniły w niczym jej sto-
sunku do tamtejszego ludu i tam-
tej przyrody. Z lubością o nich
opowiadała, naszkicowała szereg
rozdziałów, które miały wejść w
skład większej całości.

Nadszedł wrzesień 1939 roku.
Romaszkanowie w ostatniej chwi-
li przekroczyli granicę, zabiera-
jąc ze sobą jako jedyny bagaż
maszynę do pisania i dwa psy. W
obozie dla uchodźców na Wę-
rzech Jerzy, który już raz sto-
czył walkę z gruźlicą, zapadł w
nią ponownie i już z niej nie wy-
szedł. Litka władając biegle pie-
cioma językami dostała posadę
tłumaczki w Czerwonym Krzyżu,
pracowała też jako rysownicza
w dużej fabryce tekstylnej. W
1944 roku wyszła ponownie za
mąż za Charles De Barcza, po-
dczas wiceprezydenta związku
przemysłowców węgierskich, dy-
rektora wielkich cukrowni, który
przy pomocy specjalnych inter-
wencji, ciężko chory wyostał się z
gestapo, by w parę miesięcy póź-
niej znaleźć się wraz z całą ro-
dziną pod okupacją rosyjską.
Przebieg tych wypadków, czę-
ściej smutnych lub zgoła tragicz-
nych, rzadziej wesołych, opisała
Litka w książce „Comes the Com-
rade“, która stała się jej debi-
tem literackim w skali międzyna-
rodowej.

Po zakończeniu działań wojen-
nych Barczowie postanowili opu-
ścić zagrożony politycznie Buda-
peszt — Litka zdążyła jeszcze,
nielegalnie i w przebraniu, odwie-
dzić rodziców w Polsce — i po
wielu tarapatkach uchodźczej epo-
pei dotarli na ciężarówce Czerwo-
nego Krzyża, schowani między
bańkami z mlekiem, do neutralnej
Szwajcarii. Dalsze losy zaprowa-
dziły ich do Paryża, gdzie Litka
trafiła do domu mody Marcel Ro-
chas i pełniła tam jednocześnie
kilka funkcji, z których najbar-
dziej prestiżową było rysowanie
modeli. Jak przedtem doświadcze-
nia okupacji posłużyły jej jako
materiał do dwóch książek („By
the waters of the Danube“ uka-
zało się wkrótce po „Comes the
Comrade“), tak znajomość zaku-
lisowa świata mody stała się
tłem nowej jej powieści „Paris
Original“, nad którą pracowała
później we włoskim miasteczku
Positano pod Neapolem.

Tymczasem manuskrypt „Com-
es the Comrade“, którego pier-
wsze zapiski — bojąc się rewizji,
robiła na marginesach książki
kucharskiej swojej węgierskiej
teściowej — przepisany już i
przetłumaczony na angielski,
przechodził z rąk jednego agenta
do drugiego, aż wreszcie dzięki
upartym wysiłkom Anieli Mie-
czysławskiej, znalazł wydawcę
w Ameryce i w Anglii. I nagle
— nieoczekiwane szczęście i na-
tychmiastowy sukces! Książka
zakupiona została przez „Book-
of-the-Month Club“, co oznaczało
ogromny nakład, zapewnione
miejsce na liście bestsellerów i
tłumaczenie na inne języki. Bar-
czowie zaczęli szybko organizo-
wać wyjazd i zawitali do Nowego
Jorku latem 1950 roku. Spotkali-
my ich tam prawie w przeddzień
naszej przeprowadzki do Middle-

town — i znowu, jak w 1939 roku,
stała się dla obu sypialni „High-
wind in Jamaica“ Hughesa. Baj-
ki dla dzieci — pisane w różnych
okresach i które ceniła wyżej od
swoich powieści — nigdy jakoś
nie znalazły amerykańskiego wy-
dawcy.

Odkrywszy w sobie talent peda-
gogiczny, Litka zaczęła się roz-
glądać za posadą na jakimś uni-
wersytecie. Ale nie przychodziło
to łatwo i pisała wówczas nagła-
ce listy na wszystkie strony, gdzie
tylko miała przyjaciół. I oto tak
się złożyło, że Oshkosh State Col-
lege miał wakans na stanowisku
instruktora francuskiego. Litka
znała Oshkosh z czasu touury od-
czytowej i miasto, a zwłaszcza
ludzie zrobili na niej dobre wra-
żenie. Popieraliśmy jej kandyda-
turę ile tylko się dało (dzielnie
nam w tym pomagał Wacław Ję-
drzejewicz, wówczas profesor w
niedalekim Ripon College, i je-
sienią 1955 roku oboje Barczowie
zawitali do „naszego“ miasta,
pełni entuzjazmu do rozpoczęcia
jeszcze jednego nowego rozdziału
w ich burzliwym życiu. Było im
tu od samego początku dobrze,
doznali wielu dowodów ludzkiej
życzliwości i przyjaźni, poculi
się zabezpieczeniu, dopłynęli do
spokojnej przystani i postanowili
tu pozostać. Kupili kawałek za-
drzewionego terenu i zbudowali
na nim dom dwurodzinny według
planów Litki, ślicznie i z du-
żym gustem urządzone, pełen z
trudem uratowanych pamiątek.
Jakże się jej mąż Kari, będąc sła-
bego zdrowia i skazany na częstą
bezczytność, tym domem cieszył,
ile sobie po nim obiecywał, jak
pragnął sprowadzić na letnie
miesiące dzieci i wnuki. Umarł
jednak niedługo potem, w stycz-
niu 1963 roku, w Bostonie, dokąd
pojechał z wizytą do ukochanej
śmierci.

Prenumerujcie „TYDZIEŃ POLSKI“

w częstych kartkach, uwagi kry-
tyczne ograniczając jedynie do
praktycznej strony życia. W War-
szawie, mieście swego dzieciń-
stwa i młodości, Litka do końca
zachowała w sobie coś z dziecka,
odnalazła oto smak życia, który,
wydawać by się mogło że straciła
bezpowrotnie — i zdumiewała się
samą, że tyle rzeczy jeszcze ją
cieszy i tyle wzrusza. Pisała
stamtąd:

„Tu tak cudownie, że ze wzru-
szenia pozbić się nie mogę.
Czuje się też o wiele lepiej, bo
szczęście daje zdrowie, pamiętaj
o tym. Pełno tu zieleni, czysto,
byłam wczoraj w ogrodzie bota-
nicznym, to jest mój „Secret Gar-
den“. Czy pamiętasz tę książkę?
Jakaś aura dzieciństwa mnie
ogarnęła, a z nią w parze idąca
radość z każdego dnia, z każde-
go przebudzenia się rannego...
Kocham masę przyjaciół, to też
jest samą błogością — co za spot-
kania, opowiadania, istne rozko-
sze... to miasto jest pełne cudow-
nych ludzi. Do nikogo nie piszę,
bo zbyt szczęśliwa jestem — roz-
nosi mnie dosłownie“.

Do nikogo już nie mogła na-
pisać. Nie zdążyła. Nastąpił nie-
spodziewanie atak serca, zabrali
ją natychmiast do szpitala, ale
już jej nie mogli uratować. Kart-
ka przyszła do Oshkosh 30 wrze-
śnia, a więc w trzy dni po jej
śmierci.